

Beauvois, Daniel

Spółeczeństwo w potrzasku - Michalski, Jerzy. Recenzja. "Kwartalnik Historii Nauki i Techniki" nr 3-4 (1978), s. 769-780

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 24/r2, 445-452

1979

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Daniel Beauvois
(Nancy)

SPOŁECZEŃSTWO W POTRZASKU

Uwagi nad recenzją pióra Jerzego Michalskiego mojej książki *Lumières et société en Europe de l'Est — l'Université de Vilna et les écoles polonaises de l'Empire russe 1802—1832*.

Jest niemałą satysfakcją dla historyka nie Polaka stwierdzić, że jego książka o Uniwersytecie Wileńskim i szkolnictwie polskim w cesarstwie rosyjskim jest czytana w Polsce, dyskutowana i recenzowana przez najlepszych znawców. Na ostatnią z tych recenzji („Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 1978 nr 3—4 s. 769—780) czekałem niecierpliwie, gdyż — jak wiedzą koledzy profesora Jerzego Michalskiego — nie jest on skłonny do tanich pochwał. Z dziesięciu stron, które zechciał poświęcić mojej dziesięcioletniej pracy, siedem stanowi zdrową i pobudzającą do rozmyślań krytykę. Pragnę więc najpierw podziękować memu wielce szanownemu recenzentowi za trud niemały i za pomoc oraz redakcji „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki” za ofiarowaną mi możliwość odpowiedzi i wytłumaczenia się.

Na wstępie recenzji J. Michalskiego wyczułem lekki zarzut, dotyczący bazy źródłowej mojej książki, a trochę dalej — jej ogólnej koncepcji. Recenzent ma mi za złe, jak się wydaje, „zafascynowanie bogactwem materiału archiwalnego” oraz to, że „powołuję się wyłącznie na źródła rękopiśmienne w sprawach znanych z dawniejszych opracowań” (co prawda podaje tylko jeden przykład). Nie uległem żadnemu „zafascynowaniu”, a po prostu uważałem, że uczciwość i ścisłość naukowa każą historykowi więcej ufać oryginałom niż opracowaniom (spis wykorzystanej przeze mnie literatury przedmiotu wynosi jednak 396 pozycji) albo ewentualnie niepełnym wydaniom źródeł. Wiadomo bowiem, że nie dysponujemy dla okręgu wileńskiego takimi solidnymi publikacjami źródłowymi, jak np. dla działalności KEN. Mimo słusznego uznania dla trytomowej pracy J. Bielińskiego (1899—1900), tej cennej książki nie można zaliczyć do najściślejszych, a chyba profesor Michalski nie zaprzeczy, że np. przy omawianiu ruchu filomatów o wiele lepiej będzie się powołać na oryginały korespondencji, znajdujące się w archiwum KUL, niż na cenne, ale nie pełne tomy pod red. Spotańskiego i Pietraskiewiczówny. Czy nie wypada raczej cieszyć się z tego, że żywie większe zaufanie do źródeł autentycznych, gdy mamy tyle prac zadowolających się dokumentacją z trzeciej ręki? Jeśli idzie o „niedostatecznie wykorzystaną dotychczasową literaturę przedmiotu”, wdzięczny jestem za cenne wiadomości o pracach Charkiewicza o M. Bobrowskim i Kozłowskiej-Studnickiej o likwidacji uniwersytetu w r. 1832. Nie omieszkać dodać tych dwóch pozycji do 396 podanych w książce. Natomiast prace Szantyra i Nowodworskiego wymieniam kilkakrotnie (patrz. przyp. 122 s. 412, 135 s. 309).

Profesor Michalski ma pewne zastrzeżenia co do trafności wyboru tego „punktu obserwacyjnego”, mianowicie co do obserwowania problemów „z perspektywy długiej ewolucji historycznej”. Jestem przeciw-

nego zdania. Wydaje mi się, że obecna skłonność historyków do globalnego ujmowania zagadnień historycznych w kategorii tzw. „longue durée” (a u mnie omawiany okres ograniczony jest do 30 lat!) pozwala na bardziej obiektywne badanie spraw okręgu wileńskiego. Nie wiem na jakie „wyliminowane” przeze mnie „czynniki, na jakich (okręg) opierał swą egzystencję” powołuje się recenzent. Wykazuję przecież, że wszystkie osiągnięcia oświatowe są tu dalszym ciągiem dorobku KEN, że w każdej dziedzinie kultury trwa walka o polskość. Waloryzujące porównanie z innymi ośrodkami kulturalnymi dawnej Rzeczypospolitej, które mi proponuje Jerzy Michalski (które zresztą przeprowadziłem, ale minimalnie, bo nie o to mi chodziło) byłoby, moim zdaniem, za mało w stylu tradycyjnej historiografii patriotycznej, albo przynajmniej polonocentrycznej, podczas gdy okręg wileński jest właśnie obszarem, który z mojej perspektywy kulturalno-społecznej należało badać odrębnie, gdzie specyficzne cechy są tak samo ważne jak czysto polskie. Poza tym, pomijając nieliczne kontakty osobiste, związki Wilna z Księstwem Warszawskim i Galicją były nikle, a z późniejszym Uniwersytetem Warszawskim nader rzadkie, oprócz może, wymiany regulaminów dyscyplinarnych za Twardowskiego i Pelikana.

Ale przyjrzyjmy się temu, co mówi profesor Michalski o zasadniczych moich tezach. Stwierdzam z przyjemnością, iż mimo okazałych rozmiarów recenzja nie kwestionuje głównego trzonu mojej książki. Zawarte w niej uwagi w minimalnym tylko stopniu dotyczą spraw, które mi najbardziej leżały na sercu i które są wyraźnie zaznaczone we *Wstępie* jako główny przedmiot moich badań, mianowicie rola i miejsce szkolnictwa — wyższego, średniego i podstawowego — w życiu i w strukturze społecznej. Jedyne zastrzeżenia recenzenta co do tego głównego aspektu mojej pracy są wyrażone na str. 775—776. Nie wdając się w długą polemikę, chciałbym tu odwołać się do mającej się ukazać pracy zbiorowej pod redakcją R. Czepulisowej pt. *Inteligencja polska pod zaborami*, której jestem współautorem¹. Tam zainteresowany czytelnik znajdzie syntezę moich poglądów na perspektywy rysujące się przed inteligencją tych ziem. Może skoncentrowanie problemów w jednym artykule lepej uwypukli moje stanowisko niż rozproszone w książce rozważania. Tu ograniczę się tylko do pewnych niezbędnych uściśleń.

Nie „zawężam listy zawodów inteligenckich” do lekarzy, księży i nauczycieli szkół średnich. Po prostu rzeczywiście nie było innych. Nie zaprzeczam, że było sporo wykładów architektury, malarstwa, rytowania, rysunku, fizyki, astronomii, itd. ale jaki był status społeczny tych specjalistów? Czy liczni i znani uczniowie np. Rustema, których piękne obrazy wiszą teraz w muzeach polskich, białoruskich i litewskich, tworzą inteligencję? Czy cała ich twórczość nie zależała od tradycyjnego mecenatu różnych panów? Czy ci wspaniali skądinąd ludzie tworzą jakąś spójną grupę? Czy mają wspólne zebrania jak lekarze? Czy zdobyte kwalifikacje dają im pewność jutra? Nie. Żyją oni jak żyli malarze od wieków. Podnoszą niewątpliwie kulturę polską, ale ich zajęciem nie są nowoczesnym niezależnym zawodem, społecznie zorganizowanym i zhierarchizowanym (choć zarodek takiej organizacji znajdujemy w kilku wystawach w ramach uniwersytetu). Recenzent podaje przykład architektów. Powołuje się na świadectwo Rewkowskiego, myśląc, że „jednak chyba można mu zaufać”. Nie, nie można, bo gołosłowne twierdzenie, że „wyszło wielu dobrych architektów”, nic nie znaczy dla socjologa. Co to

¹ Warszawa 1978. PWN s. 11—64.

byli bowiem za architekci? Z braku zorganizowanego kształcenia zawodowego, jak ustalić różne poziomy? Nie ulega wątpliwości, że wykład Podczaszyńskiego nie był „bezużyteczny” (!), chodzi o to, że z braku dyplomów i jakiegokolwiek sankcji studiów, nie wiadomo na jakich kryteriach opierała się późniejsza rekrutacja. Artyści byli albo zdani na łaskę i dobry gust mecenasów, albo zależeli od przypadkowych powiązań osobistych. W żadnym wypadku nie mamy do czynienia z zawodem współczesnym, z korpusem architektów związanych przepisami, jednakowo wykształconych, utrzymujących własne odrębne kontakty, tworzących formálną wspólnotę inteligencką.

W zasadzie nie można odrzucić przypuszczenia, że — jak mówi, bardzo zresztą nieprecyzyjnie, J. Michalski — „nauka ... torowała drogę do różnych posad urzędniczych” (s. 775), ale nie ma na to, na razie, żadnego dowodu. Ażeby to udowodnić, trzeba byłoby przestudiować akta personalne wszystkich instytucji szlacheckich utrzymanych w tym rejonie przez Rosję do lat czterdziestych XIX w. (sądy itp.). Takie studium byłoby nader pożyteczne i prawdopodobnie mogłoby uwydatnić zachodzące w mentalności szlacheckiej zmiany. Ale ponieważ urzędy miejscowe były zmonopolizowane przez szlachtę, takie badanie nie dałoby więcej aniżeli ustalenie, w jakim stopniu **po kryterium urodzenia**, wchodziły w grę kryteria kwalifikacji albo poziomu naukowego. Sama zaś natura tych urzędów była stanowa, nie miała nic wspólnego z uwzględnieniem zasług osobistych. Co do przykładu obsadzenia stanowisk gubernatorów cywilnych przez Polaków, podanego przez recenzenta, jest to raczej „woda na mój młyn”, bo właśnie do tego typu urzędów mianowano ludzi wyłącznie według urodzenia — i to wysokiego — a w dodatku upewniwszy się, że kandydaci są prawowierni. Przypomnę tu na przykład Filipa Platera, którego nazwisko świadczy wymownie o zasadzie wyboru do takich urzędów, a którego poziom intelektualny jaskrawo podkreśla, jak mało dbano o kwalifikacje. Poświęciłem dość dużo miejsca tej postaci. F. Plater był w latach 1816—1820 wicegubernatorem guberni wołyńskiej. Nie ulega wątpliwości, iż to stanowisko zawdzięczał swemu urodzeniu (był właścicielem 1600 chłopów pańszczyźnianych koło Włodzimierza i Kowla), a przede wszystkim temu, że wyróżniał się jako wróg uniwersytetu i szkolnictwa, które po śmierci Czackiego chciał uzależnić od sejmików. Poza tym nie wiemy, w jakich warunkach byli kształceni gubernatorowie cywilni: czy i jak długo uczęszczali do szkół publicznych, czy mieli tradycyjne wychowanie domowe. Trudno zapewne zaliczyć ich do jakiejś „inteligencji szlacheckiej”. Przykład gubernatorów cywilnych jest tym mniej przekonującym, że okres obsadzenia tych posad przez Polaków jest ograniczony do lat 1815—1820 tj. do lat szczytowej przychylności Aleksandra dla Polaków².

Czy naprawdę „już zdecydowanie nie można zgodzić się” ze mną, gdy mówię, że dążenie zubożałej szlachty do zdobywania wiedzy daje się tłumaczyć bezinteresowną tradycją szkolnictwa polskiego w. XVIII? Jak bowiem inaczej tłumaczyć ten niesłychany — najintensywniejszy w cesarstwie rosyjskim i na całych ziemiach polskich — pociąg do szkół, po stwierdzeniu niemożliwości konkretnego awansu społecznego poprzez naukę? Czy mój oponent nie wybrał z kolei niewłaściwego „punktu obserwacyjnego”, patrząc na zjawiska z perspektywy czło-

² Na Wołyniu np. gubernatorstwo Bartłomieja Giżyckiego po ogólnie znienawidzonym Komburteju. Zob. G. Olizara: *Pamiętnik*, s. 42—44.

wieka w. XX? Czy gorączkowe ubieganie się o dyplomy, nienaruszalna wiara we wszechmoc papieru nie są faktami stosunkowo niedawnymi? Dlaczego — chociażby ubogi — młody szlachcic końca epoki Oświecenia, obywatel kraju agrarnego i patriarchalnego miałyby mieć te same motywacje co chłopak uprzemysłowionego i zbiurokratyzowanego kraju? Zresztą i nikłość „ryнку pracy” intelektualno-fachowej i nadaremność dyplomów wyraźnie dają o sobie znać w fakcie, który w mojej pracy mocno podkreślałem, a o którym J. Michalski nie wzmiankuje, mianowicie w masowym opuszczaniu studiów po roku, a najwyższej po dwóch latach pobytu na uniwersytecie. Wykresy zawarte w mojej książce dobitnie pokazują, jak mało studentów (a także uczniów po szkołach powiatowych lub gimnazjalnych) dochodziło do końca sześcioletniego kursu. Tu recenzent nie mówi, ale prawdopodobnie myśli, że moje świadectwa o dość opłakanej sytuacji społeczności szlacheckiej, o przejawach demoralizacji wśród drobnej szlachty są jawnie przejawskrawione. Tak przypuszczam dlatego, że sam często zadawałem sobie pytanie, na które my w obecnym stanie naszej wiedzy nie mamy odpowiedzi: jak wyglądało dalsze życie codzienne absolwentów i raczej przelotnych uczniów szkół i uniwersytetów? Może należałoby szukać odpowiedzi w katalogach księgozbiorów prywatnych — gdyby istniały takie, np. w inwentarzach pośmiertnych u rejentów — aby ustalić skalę zainteresowań i poziom kulturalny tych ludzi. To byłoby pasjonujące.

Na razie jednak nie rezygnuję wcale z mego punktu widzenia. Chęć chodzenia do szkoły w okręgu wileńskim w początkach w. XIX wiąże z zakorzenionym w Polsce prestiżem wiedzy, a może też z iluzorycznym (i najczęściej szybko utraconym) przeświadczeniem, że ta wiedza da takie same możliwości awansu społecznego jak na Zachodzie. Tak nie było w Księstwie Warszawskim ani w Królestwie. Nie chciałbym urazić patriotycznej wrażliwości mego recenzenta tym zimno socjologicznym stwierdzeniem — i zapewniam, że gdybym pisał o szkolnictwie francuskim w tym samym czasie Restauracji francuskiej, doszedłbym może do innych, ale nie weselszych wniosków. Nie mogę się jednak zgodzić z opinią (s. 776), że redukuje Uniwersytet Wileński do „kuriozalnego przykładu instytucji oderwanej od życia”. Szkoda, że oponent, nie chwyciwszy może stylistycznego nuanasu francuskiego słowa „souricière”, odebrał je zbyt dosłownie jako „jakąś pułapkę na myszy”, co wypacza moją intencję. Słowa tego użyłem w znaczeniu „potrzask”, z odcieniem wyrażającym tragizm i współczucie. Zresztą w potrzasku Ciemnogrodu znalazło się wówczas nie tylko społeczeństwo polskie z gubernii zachodnich. Nikomu nie przynosi ujmy stwierdzenie, że cesarstwo rosyjskie pokazane przez Gribojedowa, niestety, było może socjologicznie, nie kulturalnie — o wiele silniejsze niż akcja filomatów. To właśnie sprawa perspektywy. Chciałem przede wszystkim pokazać tę tak często zaniebaną stronę medalu. Profesor Michalski nie ma również racji, w końcu swojej recenzji, mówiąc, że robię z własnej jurysdykcji uczelni coś „śmiesznego”. Nie pozwoliłbym sobie na taki pogardliwy ton. Słowo „dérisoire”, używane przeze mnie, nie może być tak izolowane od kontekstu. Chcę tylko podkreślić słabą skuteczność samorządu uniwersyteckiego wobec ogólnego ucisku w cesarstwie.

Kwestionuje również recenzent mój stosunek do A. J. Czartoryskiego. Odmienne ode mnie widzi jego konflikty z gronem profesorskim, szczególnie za rektoratu Twardowskiego. Kilkakrotnie powraca do tego zagadnienia. Na s. 773 mówi że „niedostatecznie wyeksponowane zostało

poparcie, jakiego »reformatorom« decydował się udzielić kurator Czartoryski”. Na s. 774 twierdzi, że „autor zbyt silnie podkreśla »reakcyjne« elementy w ostatnich latach działalności kuratora”, a na s. 775, mówiąc o konfliktach z częścią profesorów, sądzi, że „w grę wchodziła tu raczej niechęć do reform i niechęć do konkretnych ludzi”.

Tu — jak i w recenzji mojej pracy pióra doc. Jerzego Skowronka („Przegląd Historyczny” 1978 nr 3) — postawa patriotyczna księcia Adama rzutuje na społeczne i ideologiczne aspekty jego działalności. Przekład jest nader charakterystyczny dla zmięrczu Oświecenia. W przekonaniu J. Michalskiego grupa profesorów, którą S. B. Jundziłł określa jako „reformatorów”, może być tylko postępową. *Ipso facto* poparcie, którego im udzielał Czartoryski, jest słuszne i zasługuje na uznanie. Sprawa jednak przedstawia się odwrotnie. O jakie bowiem reformy mogło chodzić w czasie Świętego Przymierza? To prawda, że młoda kadra adiunktów była zniecierpliwiona brakiem szybkiego awansu do rangi profesorskiej i gotowa do reform. Mimo to etykieta „reformatora” w tym wypadku wcale nie ma tego dodatniego zabarwienia, o którym myśli recenzent. Kim są ci młodzi — i starsi — kandydaci do wybicia się? Są to przeważnie autorzy nowych podręczników zamówionych przez Pelikana w 1825 r. zamiast „przestarzałych” książek KEN. Co prawda członkowie „Komitetu szkolnego” w Wilnie przejawiali sporo starczego uporu nie chcąc zrezygnować z całego dorobku, nie zawsze już przystosowanego do nowszych osiągnięć nauki, ale czy z kolei ideologia tkwiąca w elaboracie Bobrowskiego o nauce religii dla szkół powiatowych jest tu postępowem? Jakie wartości postępowe przyniósł *Katechizm ku czci Cesarza Wszechrosji* ks. Kłagiewicza? Co lepszego mogli zaproponować „reformatorzy” na miejsce starego Kopczyńskiego? Dlaczego tak zwane „prawo natury”, to jest oficjalne nauczanie praw człowieka, wydawało się im (i kuratorowi) „prawie nieprzydatne”. Oto — co, między innymi, stoi na zawadzie w stosunkach między kuratorem a gronem profesorskim.

Mówiąc, że zbyt silnie podkreślam odpowiedzialność księcia za kształt rozporządzeń dyscyplinarnych 1823 r. (przecież kanwa tego tekstu jest jego ręką), Jerzy Michalski nie uwzględniła większości moich wywodów. „Czartoryski — mówi recenzent — działał pod przymusem okoliczności (ten sam pogląd znalazłem w recenzji J. Skowronka), gdyby to był wyraz jego własnych przekonań, uczyniłby to wcześniej”. A właśnie uczynił! Przecież z całej mojej pracy wynika, że bardzo wcześniej kurator przejął się duchem Świętego Przymierza. Być obrońcą polskość — a był nim niezaprzeczalnie książę Adam — wcale nie znaczy być zwolennikiem postępowych reform. Cała Europa jest wtedy przestraszona „złem”, które się gnieździ w uniwersytetach (najwcześniej w Niemczech). Po swojej wizycie w Wilnie, w czerwcu 1817 r., pisze Czartoryski Golicynowi, że ciało profesorskie wymaga stałego pilnowania, a w r. 1818 rektor Malewski jest literalnie zarzucany zaleceniami zmierzającymi do zmiany ducha nauczania. Najbardziej rewelacyjny z tego względu tekst, to jego *Uwagi nad teraźniejszym sposobem uczenia po szkołach i nad odmianami, które weń wprowadzić należy*. Tu na 25 wielkich arkuszach mamy już nakreślony plan zredukowania pozytywnego dorobku Oświecenia i wytyczne „reform” 1824 r.: ustalenie ogromnej przewagi łaciny — bo, mówi Czartoryski, nie ma obawy, żeby z nauki tego przedmiotu uczniowie nabrali „złych wyobrażeń” — oraz wypieranie prawa natury. Własnym rozporządzeniem likwiduje on w 1821 r. podręcznik Hieronima Strojnowskiego. Trudno się zgodzić z J. Michalskim gdy twierdzi, że

prawo natury, jako „relikt” w. XVIII, nie miało już miejsca w programach. Powiedziałbym nawet, że wiele z aspektów tego przedmiotu (stosunki międzyludzkie, moralność społeczna, zasady sprawiedliwości, stosunki władzy i podwładnych, itd.) zachowało do dziś swą aktualność.

Najbardziej charakterystyczny krok księcia Adama w stronę antyuniwersyteckiej polityki, to jego opowiedzenie się po stronie arystokracji wołyńskiej zmierzającej do zniesienia władzy uniwersyteckiej nad szkolnictwem, do podporządkowania szkół osobnym „Izbom dozorczym”, złożonym z ziemian. Już w 1816 r. omawiane są plany, które znajdują potwierdzenie w utworzeniu „liceum” Krzemienieckiego, według elitarnego wzoru Carskiego Siola czy Odessy (1818). Czartoryski odtąd nie kryje przed Malewskim (w całej korespondencji z lat 1818—1819), że już nie życzy sobie dyrektorów-pedagogów po szkołach i gimnazjach. Uważa on, że dyrektorowie-ziemianie byliby znacznie pewniejsi (stąd wybór poety A. Felińskiego — właściciela dóbr na Wołyniu — na dyrektora w Krzemieńcu: ziemian-poetów było jednak, niestety, za mało!) Z tego samego wczesnego okresu — tu żadne „okoliczności” nie zmuszają kuratora do tego kroku — pochodzi wymowne wezwanie do tak zwanych „dozorców honorowych”. Ci opiekunowie szkolnictwa (najczęściej marszałkowie szlachty powiatowej) muszą, według księcia, dbać o to, żeby szkoła nie stała się rozsądkiem niepotrzebnej inteligencji. Powinni oni stłamsić „nierozsądną żądzę podniesienia się”.

Oczywiście, jak dowodzi J. Skowronek, opierając się na listach Czartoryskiego do żony, kurator był szczerze zakłopotany rozwojem późniejszych wypadków i zwycięstwem skrajnej reakcji, nie był bowiem zwolennikiem mocnej ręki na uniwersytecie. Tym nie mniej zachowawczy tok jego działalności jest widoczny tuż po 1817 r., a wybór Twardowskiego (doktora, ale przede wszystkim ziemianina) na rektora w 1823 r. jest już tylko kolejnym ogniwem w łańcuchu przedsięwzięć, mających na celu odjęcie władzy szkolnej z rąk profesorów.

Nie jest chyba obojętne, że wśród najgorliwszych wykonawców „reformy” 1823 r. — która nareszcie święci triumf łaciny nad naukami ścisłymi i wyeliminowanymi niebezpiecznymi przedmiotami są E. G. Grodek, związany od dawna z Puławami, oraz L. Borowski. To najlepiej pokazuje kogo S. B. Jundziłł i Jan Śniadecki — w ich nieco sklerotycznym i skostniałym przywiązaniu do już zwyciężonego ideału oświeceniowego — nazywali „reformatorami”.

Ogień swojej krytyki koncentruje Jerzy Michalski na krótkim rozdziale poświęconym charakterystyce poziomu naukowego w okręgu wileńskim, to jest na dziedzinie, w której ma zasłużoną reputację mistrza. Tu w zasadzie przyznaję mu rację. Te 86 stron (50 w tomie I i 36 w tomie II) na 912 stronie całości, nie rości sobie pretensji do ostatecznej syntezy. Wyraźnie zastrzegłem we *Wstępie*, że zrezygnuję z tradycyjnej historii myśli. Przyznaję zresztą skromnie, że trudno by mi było zdobyć się na encyklopedyczny obraz stanu wiedzy ludzkiej w tym czasie i w tym miejscu. Nie jestem historykiem nauki i bardzo przepraszam czytelników „Kwartalnika”. Byłbym więc skłonny uznać zarzut rzadkiego sięgania do *Polskiego słownika biograficznego* — mimo usterek spowodowanych przez tę nieszczęśliwą decyzję — za rodzaj komplementu. Nie mogło być mowy w takim informacyjnym rozdziale (a wydawcy krzyczą, że praca jest i tak zbyt długa!) o pełnym i mechanicznym przytaczaniu artykułów *Słownika*. Moje skromne i szkicowe przedstawienie różnych wydziałów uniwersyteckich przynosi zresztą nawet czasami da-

ne, których nie ma w imponującej *Historii nauki polskiej*, chociaż — oczywiście — nie zamierzałem współzawodniczyć z takim wspaniałym dziełem. Wiele trafnych uwag szczegółowych pozwoli mi usunąć błędy. Zgadając się więc ogólnikowo z recenzentem, chciałem tu tylko ograniczyć się do kilku sprostowań.

Nie mówiłem, nie mogłem mówić, o przewadze literatów i historii wśród przedmiotów wykładanych na uniwersytecie, gdyż przytaczam opinię Czartoryskiego i różnych innych mu współczesnych o pierwszeństwie medycyny. Umieściłem, jak potrzeba, studium o wydziale lekarskim na pierwszym miejscu. Zgadzam się, że niezbyt zrecznie brzmi użyte przeze mnie na początku rozdziału sformułowanie, że „historiografia polska” często nadaje więcej znaczenia sprawom literackim w Wilnie, niż medycynie: miałem na myśli obiegową opinię Polaków lub opinię literaturoznawców i w ogóle mit Filomatów.

Oczywiście można będzie jeszcze dużo pisać o działalności J. Franka, Jędrzeja Śniadeckiego, Herberskiego i innych lekarzy, ale fakt, że mówię o pracy Franka w dziedzinie „materii medycznej” nie jest dowodem mojej „dezorientacji” a tylko wielkiej mobilności specjalistów w tym czasie, w trudnych warunkach wojennych i powojennych. *Pamiętniki* Franka wskazują, jak często musiał przechodzić z jednej do innej dziedziny. Umowa zawarta z jego ojcem przewidywała, że Józef Frank będzie mianowany na katedrę „terapii szczegółowej”. Dopiero później objął katedry, o których mówi recenzent (patrz *Pamiętnik* T. I. s. 29). To samo, co się tyczy Homolickiego: nie jest wcale „nieporozumieniem” objęcie kursu „chirurgii teoretycznej” po Nizzkowskim w 1816—1817. Powtarzam tylko to, co mówi A. F. Adamowicz w nie wydanej biografii tego profesora (Bibl. Akad. Nauk w Wilnie F.9. r. 1369—1380).

Recenzenta razi moja rzekoma tendencja do „przeczniania” faktów. Czy nie przejawia on jednak przesadnej wrażliwości (s. 773), mówiąc, że mógłbym „wywołać wrażenie zacofania chemii w środowisku wileńskim”? Chodzi o to, że nikt nie wiedział wtedy, jak wyjaśnić zjawisko ciepła. Mówiono o jakimś płynie, jak wiedzą historycy nauki, tak zwanym „cieplik”. Wyraźnie zastrzegam, że nigdzie w Europie nie było i nie mogło być lepiej, gdyż istotę tego zjawiska odkrył dopiero Mayer w r. 1842. Natomiast kilka wierszy niżej stwierdzam wręcz, że nauki ścisłe i stosowane były najchlubniejszym dorobkiem szkół średnich okręgu wileńskiego, czego z kolei J. Michalski zdaje się nie zauważać. Podobnie skłonny jest twierdzić, iż nie doceniam wysiłków Znoski zmierzających do wprowadzenia teorii ekonomicznych A. Smitha do wykładów uniwersyteckich, podczas gdy mówię tylko, że mimo wszystko te teorie nie były oficjalnie przyjęte na uniwersytecie przed 1829 r. Podkreślam również zasługi na tym polu M. Chońskiego w Krzemieńcu (patrz T. II s. 882—883).

Z trzech stron, poświęconych przeze mnie działalności E. G. Grodka w zakresie nauczania łaciny i greki na uniwersytecie, czytelnik — zdaniem J. Michalskiego — „nie dowie się, co naukowo reprezentował sam Grodek”. Sugeruje ponadto, że „zdaje się” nie znam „gruntownej monografii Szantyra”, choć przeczy temu przypis 135, gdzie daję główne pozycje bibliograficzne o Grodoku: oprócz Szantyra, wymieniam Węclawskiego, Okę, Sinkę, Plezię, Męzińskiego. Mówię, że nie mamy jeszcze wyczerpującej monografii o tej kapitalnej postaci, ponieważ zdania wymienionych badaczy — dla czego tego nie powiedzieć? — są bardzo niezgodne. Twierdzą jednak nadal, że Jan Śniadecki i Józef Frank są na

ogół lepiej znani. Książka M. Chamcówniej o Janie Śniadeckim, acz skromna, jest dość obiektywna i bardzo pożyteczna. O J. Franku zaś mamy od 1977 r. pracę doktorską Ramunasa Kondratasa, broniąną w Harvardzie: *J. Frank and medical development in Vilnius during the early 19-th century*, co z kolei profesor Michalski zdaje się przeoczył.

Nie mogę się nadziwić pilności, z jaką moja praca była czytana przez J. Michalskiego. Trzystronicowy spis 45 tak zwanych „drobnostek”, który podaje w końcu recenzji, jest tego pięknym dowodem. Nie omieszkam uwzględnić tych uwag w ewentualnym nowym, tym razem drukowanym wydaniu. Ja co prawda — być może na miejscu recenzenta wysłałbym wzmiankowany spis bezpośrednio do autora, ale skoro on je uznał za godne publikowania, pozostaje mi wyrazić mu moją wdzięczność i odpowiedzieć tą samą drogą, przepraszając nie zorientowanego czytelnika, dla którego ta wymiana uwag będzie zapewne zagadkowa. Zresztą chcę tylko wyjaśnić kilka szczegółów, bo większość uwag jest uzasadniona. — Język niemiecki był rzeczywiście językiem wykładowym obok polskiego, francuskiego i łacińskiego. — Sprawa licznych wakanów w 1815 r. tłumaczy się częściowo również tym, że 5 profesorów wyjechało w 1812 r. i jeszcze nie wróciło. — Dlaczego nie wierzyć świadectwu kapitana Martensa? Nie chodzi o „bliżej nie znanego kapitana” (patrz mój przypis 71 na s. 407) — Sprawa zakupu zbiorów po Czackim przez Czartoryskiego jest dobrze przedstawiona u K. Buczka: *Z przeszłości biblioteki XX. Czartoryskich oraz przyczynki do dziejów biblioteki poryckiej*. Kraków 1936; uzupełnia to mój przyp. 83 s. 302. — Wydaje mi się, że nie ma nic wspólnego między pojęciem filozofii w tradycji średniowiecznej i w czasie Oświecenia; toteż wydział filozoficzny w w. XVIII, jak już było w Krakowie po reformie Kołłątaja, jest czym zgoła innym. — Wzmianka o gwarancji przez Katarzynę zachowania polskich instytucji szlacheckich pochodzi z publikacji L. Zytkowicza: *Rządy Repnina na Litwie*. Wilno 1938; nawet świetna książka J. Jedlickiego *Klejnot i bariery społeczne* (s. 308) nie jest jasna w odniesieniu do ustroju na Litwie w latach 1800—1831³ — Gubernie wołyńska i podolska były teoretycznie przyłączone w 1824 r. do okręgu charkowskiego, ale nie wydaje się, żeby to doszło do skutku, bo dalej jeszcze napływają raporty z tych prowincji. Sądzę, że w rzeczywistości nie było czysto polskiej gramatyki w szkołach średnich. Gramatyka Kopczyńskiego była łańcisko-polska, a innej długo nie wydano. — Twierdzić, że nauczyciel Łuczewski cierpiał na zaburzenia psychiczne, to nie wyjść poza schematyczne orzeczenie sądu. Wolałem próbować wniknąć w bardzo ciekawą mentalność tej nieco niezrównoważonej postaci, bądź co bądź jednego z przedstawicieli „niższej” kultury polskiej na Ukrainie.

W sumie pozostaje mi powtórzyć, jak cenny jest dla nie zawsze zorientowanego w zawiłych sprawach polskich obcokrajowca — ten typ recenzji. Profesorowi Jerzemu Michalskiemu zawdzięczam dużo trafnych uwag i sprostowań. Jeżeli pozwoliłem sobie w tej odpowiedzi trochę popuścić cugle galickiej popędliwości, proszę o wybaczenie. Przyjmuję krytykę tak dodatnią jak ujemną — za dowód przyjaźni i poszukiwania prawdy. Chcę tak samo być zrozumiany. Może recenzent przyjmie chociażby część moich argumentów, a w ostatecznym rachunku czytelnik, który odważy się sięgnąć do moich dwóch tomów, sam wyrobi sobie opinię.

³ Dokładniejsze dane patrz B. Winiarski: *Ustrój polityczny w XIX w.* Poznań 1923 s. 145—180.